

Rosjanie w styczniu 1945 roku.

Wspomnienia Romana Gajczaka. Część I /fragment/.

Od Skawy całą szerokością ulicy szli żołnierze. To takie wojsko? Inaczej sobie wyobrażałem wkroczenie sprzymierzonej armii, bardziej uroczyście, defiladowo. Tu i ówdzie paliły się domy a z oddali dochodziły wciąż strzały armatnie. O kilometr stąd jeszcze trwała wojna. Przesuwający się pochód wojska już po chwili przestał mnie intrygować. Byli tacy sami i szli do przodu – to wszystko

Rozległ się grzmot jak podczas trzęsienia ziemi. Najeżdżały czołgi. Ława wojska rozsunęła się, jeden z czołgów stanął przed naszym domem. Lufa działa /.../ze zgrzytem przesunęła się w kierunku wadowickiego parku. Błysk ognia połączył się z potwornym hukiem wystrzału. Resztki szyb wyleciały z okien, a mnie zdawało się że wszystko wokół jeszcze drży. Po chwili padł drugi strzał i czołg odjechał w stronę rynku../.../

Nagle rozległo się pukanie do drzwi, ktoś nacisnął klamkę i śpiewnie zapytał: *Maażna??* - i wszedł. Był to oficer, za nim z dziesięciu żołnierzy. Przywitanie wypadło dość sympatycznie a przybysze poprosili o kwaterę. Byli niezwykle zmęczeni, czasu mieli niewiele, najwyżej kilka godzin. Rozlokowali się tu i tam, w kuchennym piecu zapłonął ogień, w kilku garnkach grzała się woda. Żołnierze sięgnęli po zapasy: chleb, konserwy, wędzonkę, cebulę...Nam pociekła ślinka. Oficer (był to chyba kapitan) zaprosił nas do stołu. Zrobił to z pewnego rodzaju wdziękiem, może udawał że nie widzi naszych pożądlivych spojrzeń jakimi obrzucaliśmy frontowe wiktuały. Najedliśmy się do syta a żołnierze po posiłku natychmiast usnęli. Dowódca podtrzymywał rozmowę z tatą. Obserwowałem śpiących, którzy leżeli na podłodze jak w wygodnych łóżkach. Za kołdry i pierzyny służyły im płaszcze. Żołnierska dola. Przebudzeni, gdy nadszedł czas, wstali bez szemrania, powiedziałbym obojętnie. Pozbierali się szybko, pożegnali naprawdę serdecznie i odeszli../.../Pod stołem zostawili spory pakunek. Cóż to takiego? W brezentowe płótno zawinięte było pół barana. Prezent czy ?...Upłynęło pół godziny nerwowego oczekiwania. Znów ktoś zastukał do drzwi, jeden z żołnierzy powrócił. A

więc nie prezent, po prostu zapomnieli... Żołnierz od progu oświadczył, że coś zostawił. „O, jest ! - i wyjął z zza szafy butelkę, uśmiechnął się i odszedł. Baraninę jedliśmy przez kilka dni. /.../

28 stycznia w pierwszą niedzielę po wyzwoleniu, udałem się wraz z rodzicami na mszę świętą do kaplicy Sióstr Nazaretanek, bo kościół parafialny został poważnie uszkodzony przez bomby.

Bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych nasz dom przedstawiał obraz nędzy i rozpaczey./.../ W dwóch pokojach od ulicy hulał wiatr bo okna zabezpieczyliśmy prowizorycznie. Te właśnie pokoje zajęło radzieckie NKWD i wtedy szyby wprawiono natychmiast. Koczowaliśmy praktycznie w jednym pokoju i kuchni gdzie całymi godzinami siedzieli podejrzani osobnicy, których żołnierze przyprowadzali na przesłuchanie. Wśród ponurych typów rej wodził żołnierz niskiego wzrostu, którego nazwaliśmy Borutą, bowiem przypominał diablaka. Był ordynansem u jednego z oficerów, który mieszkał po drugiej stronie sieni w pokoju lokatorskim./.../ W drugim pokoju mój starszy brat Henryk urządził zakład fotograficzny. Oficerowie i żołnierze nader chętnie go odwiedzali, zdjęcia wysyłali do swych matek, żon, narzeczonych. Za fotografie płacili prowiantem, potem gotówką. I tak przez pierwsze tygodnie po wyzwoleniu, Henryk nas wszystkich utrzymywał./.../Dopływ prądu załatwili mu Rosjanie z samochodów wojskowych. Żołnierze najczęściej pozowali z rewolwerem w dłoni. Jeden pożyczył mi *tetkę* i baranicę i jako *quasi* dziecko pułku zostałem uwieczniony!/.../Byli przezabawni, a przynosili pszenny chleb (przysmak), mięsne konserwy, cukier i powidła. Rozwijał się też handel wymienny./.../. Za wódkę, bimber czy wino dawali praktycznie wszystko./.../

U państwa Karmańskich stacjonowała radziecka lekarka, uroczą blondynka w stopniu kapitana. Była żoną generała. Brat ją fotografował - posłała nam kruche ciasteczka. Wielu przewinęło się przez nasze domostwo oficerów i żołnierzy. Żaden nie wyrządził nam najmniejszej krzywdy. Żywnością z reguły dzielili się, cechowała ich gościnność. Oprócz zegarków i sprężynowych wkładów z foteli, nic nam nie zabrali. Niezmiernie bali się NKWD, a przy tym szanowali fotografa i jego rodzinę. Mnie nazywali *malczyk* a sióstr nigdy nie zaczepiali./.../

Mieszkało potem u nas dwóch wyższych oficerów – lekarzy; podpułkownik i major.

Mieli tresowanego wilczura a maniery dżentelmenów; pełni rezerwy trzymali się na uboczu, używali dobrej wody kolońskiej. Jeden pięknie recytował Puszkina, drugi odegrał na gitarze brata *Pieśń Granadosa*. Prosili, aby Henryk im zaśpiewał *O sole mio...*

Pewnego dnia jakaś zabawka wypadła mi za kredens. Gdy zajrzałem przez szparę, zobaczyłem między ścianą a meblem jajowaty przedmiot./.../ Przerażeni zawiadomiliśmy pierwszego, napotkanego żołnierza. Przyszedł, uspokoił nas, granat wydobył po czym udał się za ogród pani Fijałkowej i odbezpieczywszy śmiertelny ładunek, rzucił go na puste pola orne. Ależ rąbnęło! A żołnierz śmiał się wesoło i głaskał mnie po głowie. Broń, amunicja, niewypały – oto co chłopców i młodzieńców interesowało bez reszty. Niemcy pozostawili całe stosy amunicji, która nie pasowała do karabinów radzieckich. Karabinów, rewolwerów, peemów nie było tak wiele, bo starsi, bardziej przedsiębiorczy, zaopatrzyli się w broń natychmiast po wkroczeniu Rosjan. Każdy wyrostek za punkt honoru sobie stawiał, aby mieć coś do strzelania! I wszyscy kropili w powietrze, do drzew, do tarcz. Czasem źle się to kończyło.